Rog Phillips

Kapitan Peabody

(Captain Peabody)

If, December 1957
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Młotek stuknął ostro i szmerek toczących się w sali bankietowej rozmów, zaczął przechodzić w głuchą ciszę. Działo się to na siedemdziesiątym piątym spotkaniu EMKAPKO, organizacji Emerytowanych Kapitanów Kosmicznych; miejscem akcji była sala bankietowa w Empire Club w Nowym Empire State Building na Manhattanie; czas akcji, około dziewiątej trzydzieści wieczorem, 9 sierpnia 2231 roku n.e.; obecni na sali to czterystu osiemnastu członków EMKAPKO – czy też raczej czterystu dziewiętnastu, włączając nowego członka, kapitana Arthura Peabody, który przekroczył barierę dziewięćdziesiątych piątych urodzin zaledwie dwa tygodnie wcześniej i z tego powodu został automatycznie wycofany ze służby czynnej, co uprawniało go do członkostwa, mimo że nadal był w kwiecie wieku.

— Proszę wszystkich o ciszę — oznajmił łagodnym tonem sekretarz stowarzyszenia i mistrz ceremonii, kapitan John Evers, ponownie stukając młotkiem.

Zwrócił się następnie do siedzącego po sąsiedzku nowego członka:

— Panie kapitanie — powiedział swoim donośnym, czystym głosem. — Nadszedł czas, aby dopełnić tradycyjnego rytuału naszych spotkań – której to części wyglądamy z ogromną przyjemnością i niecierpliwością.

Rozległy się przytłumione oklaski, po których kapitan Evers odchrząknął i podjął swą przemowę.

— Każdy z tu obecnych, stał się członkiem EMKAPKO po całym życiu spędzonym na podróżach w kosmosie, przez większość tego czasu pełniąc funkcję kapitana, trzymającego w rękach życie swej załogi, pasażerów i statku. W nieunikniony sposób, wszyscy przeżyliśmy w tym okresie jakieś niezwykłe doświadczenia, i lubimy o nich opowiadać, niewątpliwie, zanudzając swych towarzyszy na śmierć, ponieważ wymieniamy między sobą te same historie, spotkanie po spotkaniu. Tak więc, pojawienie się nowego członka, zawsze jest dla nas skarbem, dzięki temu zyskujemy bowiem jakieś nowe opowieści do wysłuchania. Za chwilę oddam więc panu głos, i chcielibyśmy aby podzielił się pan z nami wybranym doświadczeniem, które uważa pan za najbardziej niezwykłe pod jakimś względem, w całej pańskiej karierze. Proszę bardzo, przekazuję mikrofon, pan kapitan Arthur Peabody!

Arthur Peabody uniósł się powoli, wysoki mężczyzna, którego siedem stóp wzrostu składało się z długich nóg i krótkiego tułowia. Ostry łuk nosa i wysokie czoło nadawały jego obliczu cech swobodnej i pewnej władzy. Poczekał ze spokojnym uśmiechem na swych stanowczych ustach, aż ucichną oklaski. Potem rozpoczął swe wystąpienie.

Wydarzenie, które utkwiło mi w pamięci, bardziej niż jakiekolwiek inne, tak naprawdę miało swój początek jakieś pięć minut po tym, jak

przydzielono mi mój pierwszy statek, *Alabamę*, kiedy dostałem do ręki listę swoich oficerów i członków załogi. W połowie listy, natknąłem się na nazwisko Oscara Resnicka i nagle opadła ze mnie cała radość z objęcia funkcji kapitana. W tej chwili, nawet za marny grosz, chętnie zostałbym emerytowanym kapitanem kosmicznym, jeszcze zanim na dobre zacząłem nim być. Miałem wtedy pięćdziesiąt dwa lata i minęło już niemal trzydzieści lat, od czasu gdy po raz ostatni widziałam Resnicka. Ciągle miał stopień marynarza pierwszej klasy, i wiedziałem że jeśli nawet kiedykolwiek otrzymałby awans na wyższy, to wcześniej czy później nieunikniona byłaby jego ponowna degradacja. Był to bowiem nieuleczalny brutal, z najbardziej zwyrodniałymi skłonnościami do sadystycznego okrucieństwa, jakie kiedykolwiek w życiu spotkałem.

Już sam widok jego nazwiska na tej liście, wzbudził we mnie instynktowny dreszcz strachu. Kiedyś, kiedy byłem jeszcze rekrutem marynarki kosmicznej, zatłukł mnie niemalże na śmierć i zaszczepił we mnie świadomość, że mógłby to zrobić zawsze i wszędzie.

Tego rodzaju człowiek jest zawsze odrobinę szalony, albo sprawia na tobie takie wrażenie. Usiłujesz nie wchodzić mu w drogę, jeśli tylko zdołasz, a jeżeli nie uda ci się uniknąć spotkania, to przełykasz jego zniewagi i starasz się zrobić wszystko co się da, żeby uniknąć bicia, które spadnie na ciebie jeśli przyjdzie mu do głowy taki kaprys. Życie przez dwa lata z czymś takim, co spotkało mnie trzydzieści lat wcześniej, powoduje że nigdy już się tego nie zapomni.

Teraz byłem kapitanem swojego pierwszego statku, a on był tylko jednym z marynarzy. Ale w głębi serca wiedziałem, że jeśli do mnie podejdzie i nagle podniesie rękę, aby podrapać się po głowie, to ja się skulę i zbieleję jak ściana. I nic nie będę w stanie na to poradzić. A tego rodzaju wydarzenie oznaczałoby mój koniec. Załoga zaczęłaby myśleć, że jestem cykorem – i byłem nim, jeśli chodzi o Oscara Resnicka.

Och, nie zrobi z pewnością niczego, co dawałoby mi powód do wtrącenia go do aresztu, ani nawet niczego co dawałoby mi powód do wyrzucenia go ze służby – a przynajmniej powód, który ostałby się w postępowaniu związkowym, jeśliby się go domagał, co było raczej pewne. Po prostu będzie szczerzył do mnie znacząco zęby w uśmiechu, z oczyma mówiącymi mi, że myśli iż jestem tchórzem, i po każdym rozkazie będzie się wahał króciutką chwilę, ale na tyle długo, abym się zastanawiał, czy tym razem ma zamiar mnie posłuchać – tego rodzaju rzeczy z czasem mogą człowieka kompletnie załamać. I nie widziałem sposobu na uniknięcie tego.

Poczyniłem próbę, żeby pozbyć się go z załogi. Dyspozytor przyznał, że Resnick ma reputację wichrzyciela, ale gdybym go nie wziął ze sobą, Związek mógłby odwołać całą załogę i uziemić statek.

Potem dyspozytor podsunął mi fakt, że na liście brakowało jednego człowieka, mojego osobistego ordynansa. W ogóle nie myślałem o ordynansie i nikogo jeszcze na tą funkcję nie wybrałem. Dał mi listę dostępnych ludzi, i przejrzałem ją. Większość nazwisk zupełnie nic mi nie mówiła. Nagle napotkałem nazwisko, które znałem. Nie znałem go

osobiście, ale słyszałem o nim, i prawdopodobnie wszyscy panowie o nim słyszeli.

Nazywał się David Markham. Jak powiedział mi dyspozytor kiedy go spytałem, zgadza się, to był ten David Markham – ten sam, którego wykopano z Patrolu Kosmicznego za ohydne tchórzostwo. Dyspozytor opowiedział mi, że człowiek ten próbował przez dwa lata wrócić w kosmos, ale Związek go nie chciał, i jedynym sposobem na powrót do służby, była funkcja ordynansa kapitana – jeśli jakikolwiek kapitan go weźmie.

Dyspozytor zasugerował mi dwu, trzech ludzi, znanych mu osobiście, którzy mogliby mi się spodobać, i któregoś z nich może zostawiłbym sobie na stałe. Ale w głowie zaczął mi kiełkować szalony pomysł. To pewnie było chwytanie się brzytwy, ale sprowadzało się mniej więcej do tego: Mam w swojej załodze sadystycznego brutala, człowieka który znał mój słaby punkt i wiedział jak go wykorzystać. Dlaczego nie zrównoważyć tego, poprzez wybór do załogi człowieka, który stanowił jego dokładne przeciwieństwo, skończonego tchórza? Być może rozumując w podobnym stylu, pragnąłem towarzystwa człowieka, który nawet jeśli Resnick obnaży mnie przed załogą, nie będzie mógł spoglądać na mnie z góry, po prostu dlatego, że sam był najniższym z małych.

Dyspozytor prawie popłakał się ze szczęścia, kiedy wybrałem Davida Markhama. Okazało się, że bardzo mu było żal tego gościa, i uważał, że tylko człowiek z prawdziwymi jajami może mieć na tyle dużo odwagi żeby go przyjąć. Bez wątpienia byłby bardzo zaskoczony, gdybym powiedział mu prawdę.

Spotkałem się z Markhamem następnego dnia, o siódmej rano, kiedy wróciłem do Biura Dyspozytora w Porcie Komicznym Nowy Meksyk. Był to całkiem przystojny facet, w wieku dwudziestu pięciu lat, raczej niski – tuż powyżej limitu sześciu stóp i czterech cali dla Patrolu Kosmicznego, ważący około stu dziewięćdziesięciu, blondyn, o kwadratowej szczęce. Od razu zaczął mi się podobać – ale w głębi jego oczu była jakaś udręka, która nigdy nie znikała, nawet kiedy się uśmiechał, a w czasie kiedy go znałem uśmiechał się często, chociaż nigdy poza jednym wypadkiem nie roześmiał się głośno – a i to był dźwięk, którego nigdy więcej wolałbym nie słyszeć. To jednak wydarzyło się znacznie później.

Wysłałem go na pokład z moimi torbami, aby przygotował moje kwatery, a potem przygotowałem się psychicznie do spotkania z załogą. Wiecie jak to wygląda, siadacie w okienku, a ludzie podchodzą jeden po drugim, pojedynczo. Przedstawiacie się, rejestrujecie twarz człowieka w pamięci, próbujecie go ocenić, a potem prosicie następnego. W końcu w okienku pojawił się Oscar Resnick, gładko ogolony, z gęstą grzywą ciężkich piaskowo-rudych włosów, sześć stóp osiem cali, mniej więcej dwieście czterdzieści funtów żywej wagi. Jego brązowe oczy wydawały się odrobine zbyt duże, usta o wąskich wargach odrobinę zbyt małe, zaś zęby odrobinę zbyt długie.

W chwili kiedy go zobaczyłem, stare strachy wróciły. Potrzebował kilku sekund, żeby sobie przypomnieć skąd mnie zna. Potem rozpoznał mnie i niemalże widziałem jak przez głowę przepływa mu strumień wspomnień, a

jego szerokie oczy jeszcze bardziej się rozszerzyły, zaś wąskie wargi wykrzywiły w rozpoznawczym uśmieszku.

— Patrzcie państwo, pan *kapitan* Peabody! — wycedził, przeciągając na języku słowo „*kapitan*", jakby smakował je z pogardą. — Jaki ten świat mały. Fantastycznie…

Niemal byłem w stanie odczytać myśli, rozbłyskujące mu na twarzy. Będzie mógł grać na wyczekanie, nie śpiesząc się, ale to będzie gra odpowiadająca jego upodobaniom. Ujawnienie tchórzliwego charakteru *kapitana*. Nagle był z powrotem pełen szacunku, niemalże aż za bardzo pełen szacunku.

— Z pewnością dobrze się będzie z panem latać, panie kapitanie — powiedział.

— Oto właściwy duch, Resnick — odparłem. — W porządku, proszę na pokład. Bramka siedem.

Kiedy poszedł, sprawdziłem resztę załogi, widząc sympatię i szacunek w ich oczach, i zastanawiając się jak szybko zmienią się one w ledwie skrywaną pogardę oraz co zrobi Resnick, żeby mnie zdemaskować. Jak zbuntowany wilk, będzie wyczekiwać, trzymając się gdzieś na uboczu, dopóki nie zdecyduje, że nadszedł właściwy moment, a wtedy śmignie w błyskawicznym ataku, który zedrze ze mnie zasłonę mego strachu przed nim, tak by wszyscy go zobaczyli – a następnie równie pośpiesznie się wycofa, żeby siąść i się śmiać, podczas gdy dusza we mnie będzie usychać. To wszystko co miał zrobić. To wszystko co będzie musiał zrobić, i obaj, zarówno on jak i ja, dobrze o tym wiedzieliśmy.

W dniach, które nastąpiły po starcie, obserwowałem powolny rozwój sytuacji, z pewnością wynikającą z wiedzy, jaka mogła pochodzić wyłącznie z osobistego doświadczenia. Znałem metody Resnicka.

Odnoszący sukcesy brutal, musi być bystrym psychologiem i wiedzieć jak budować na słabościach ofiary. Obserwowałem Oscara Resnicka wypróbowującego to tego, to tamtego z ludzi, pracującego nad każdym z nich. Używał dosyć subtelnych metod. Czekał aż będzie sam na sam z ofiarą, a wtedy podkładał jej nogę, kiedy przechodziła obok niego, lub boleśnie dźgał ją łokciem w żebra, twierdząc potem, że był to przypadek, ale w taki sposób, iż zarówno on jak i jego ofiara wiedzieli, że z żadnym przypadkiem nie miało to nic wspólnego, a jednak nikt inny by jej w to nie uwierzył. Szydził z niej pogardliwymi spojrzeniami i uśmieszkiem, ośmielając ją aby coś z tym zrobiła. A co ofiara mogła zrobić? Nie mogła pójść ze skargą do pierwszego oficera, że jest dręczona i prześladowana. Nie mogła załatwić wszystkiego w otwarty sposób rozwiązując sprawę przy pomocy walki, nie zadając przy tym pierwszego ciosu, po którym uznano by ją za agresora, winnego niczym nie sprowokowanego ataku. No a przede wszystkim jego szyderstwa i drwiny, stwarzające pozór siły i pewności siebie, skłaniały ją do rezygnacji z otwartej walki, chyba że byłaby w tej dziedzinie prawdziwym zawodowcem. Stopniowo utrwalały

się w niej reakcje lękowe, uniemożliwiające jej zwycięstwo, nawet gdyby początkowo była w stanie pokonać swego dręczyciela.

Kiedy ktoś staje się ofiarą tego rodzaju prześladowań, tak naprawdę otwierają się przed nim jedynie dwie drogi postępowania. Próbować schodzić prześladowcy z drogi, tak często jak to tylko było możliwe, jeśli ktoś miał choćby odrobinę godności osobistej, albo płaszczyć się przed nim, upadlać się w jego obecności, szydzić z nim z innych ofiar, schlebiać mu i mieć nadzieję, że skieruje swe sadystyczne zapędy w inną stronę.

Wkrótce czterech czy pięciu marynarzy zaczęło trzymać się swego sadystycznego prowodyra, przesadnie go podziwiając, śmiejąc się niesamowicie z każdego jego słowa, stając u jego boku przeciw innym, a nawet samemu dopuszczając się pomniejszych brutalnych czynów, terroryzując tą, czy tamtą ofiarę, zaraz kiedy tylko się zorientowali, że wiąże ich wszystkich wspólna skłonność do tchórzliwego sadyzmu, jak stado ludzkich szakali.

Ludzie pokroju Resnicka, początkowo zostawiają silnych w spokoju; czekają aż zbiorą się wokół nich szakale. Kiedy ten etap się zakończy, kiedy każdy kto będzie chciał cokolwiek powiedzieć staje się tchórzliwym donosicielem, kapitan zaczyna znajdować najlepszych ludzi ze swej załogi w szpitalu, z rozbitymi nosami, posiniaczoną twarzą, podbitymi oczyma, i może nawet z kilkoma połamanymi żebrami, które trzasnęły pod czyimś butem. Po tym, jak już lekarz udzieli im pierwszej pomocy, kapitan idzie do ambulatorium i wypytuje, kto to zrobił. Ofiara zaciska wargi i odpowiada, że nie widziała go. Kłamie i wie, że ty zdajesz sobie z tego sprawę, ale co masz zrobić, nie możesz przecież wyciągnąć z niej tego przy pomocy tortur, albo ukarać jej za to, że nie chce ci tego powiedzieć. Nie. Kapitan ma w tym przypadku związane ręce. Musi mieć zeznania poszkodowanego na piśmie, podpisane i poświadczone, a w karaniu agresorów należy stosować się ściśle do przepisów prawa. A jeżeli kapitan w ogóle cokolwiek zrobi, może być niemal pewien, że w pierwszym porcie zostanie zaciągnięty przed sąd przez ukaranych osobników. Nawet jeśli kapitan potrafi udowodnić słuszność osadzenia kogoś w areszcie, ukarania go grzywną, albo wymierzenia kary degradacji związanej z rodzajem przydzielanej pracy, jego statek zostanie opóźniony przez rozprawę, a właściciele mogą zdecydować, że potrzebny im jest inny kapitan, który wie jak uniknąć kosztownych opóźnień.

Ludzie pokroju Oscara Resnicka, to społeczny rak, a ja widziałem pojawienie się na statku jego pierwszych objawów, oraz jego rozrost. Zdawałem sobie również sprawę, że tamten jest zbyt sprytny i cwany, żeby pozwolić ofiarom na wydostanie mu się z rąk. Każdy inny kapitan, znając te wszystkie fakty, usiadłby spokojnie i nic nie robił, wiedząc że to jedyny bezpieczny sposób postępowania, zgodny z jego obowiązkami polegającymi na utrzymaniu statku w rozkładzie lotu.

Ja również musiałem tak postąpić. Ale wiedziałem, że to tylko preludium, że kiedy Resnick wyczuje odpowiedni moment dla swoich celów, zaatakuje mnie.

Będzie to subtelny atak i potrwa tylko chwilę. Będzie miał miejsce w obecności załogi. To będzie coś, co złapie mnie nieprzygotowanego,

wzbudzi błysk strachu w moich oczach, tak by zobaczyli go wszyscy marynarze. To zupełnie wystarczy. Wszyscy zaczną mówić, że kapitan Peabody to tchórz.

Część marynarzy odejdzie ze statku w porcie kosmicznym Północny Mars, mówiąc agentowi biznesowemu Związku, że nie chcą służyć na statku z tchórzliwym kapitanem. Agent stwierdzi, że ludzie odmawiają zamustrowania na mój statek, ponieważ jestem tchórzem. I nieuchronnie nadejdzie chwila, kiedy nie będę potrafił znaleźć pełnej załogi. Wtedy właściciele zwolnią mnie i nigdzie już nie znajdę nowego miejsca pracy jako kapitan.

Nie wiedziałem jak uniknąć tego losu. To była tylko kwestia czasu. Kiedy to się wydarzy? Dzisiaj? Dopiero za sześć miesięcy? A może jutro? Kiedy?

David Markham od samego początku okazał się niezmiernie sumiennym ordynansem. Moja kwatera utrzymywana była w idealnym porządku, wystarczyło że tylko uniosłem brew, a on już był na miejscu, gotów do wykonania poleceń. Ile godzin dziennie spędzał na ścieraniu wyimaginowanego kurzu, spłukiwaniu po raz n-ty nieistniejącego detergentu z moich naczyń i sztućców zanim zasiadłem do jedzenia, polerowaniu moich już wcześniej lśniących jak lustro butów i milionie innych rzeczy o których nawet nie wiedziałem, nie miałem pojęcia.

Niewielu ordynansów brata się z załogą, i on nie był pod tym względem wyjątkiem. Większość ordynansów albo od początku ma cechy starej panny, albo wykształca je w sobie po kilku latach. On nie wykazywał niczego podobnego, ale nie był przecież ulepiony z tej samej gliny, co zwykle ordynansi.

Przez cały czas wyczuwało się w nim napięcie, tak silne że aż niemal widoczne – napięcie, które każdą pomniejszą pracę domową zmieniało dla niego w sprawę życia lub śmierci. Żal było na tego człowieka patrzeć i zazwyczaj unikałem oglądania go tak często, jak tylko było to możliwe. Ale kapitan nie może podnosić wszystkiego, co zdarzy mu się upuścić, ani robić mnóstwa innych rzeczy, które zwykły człowiek robi sam dla siebie, ale które należą do tradycyjnych obowiązków ordynansa – jeśli nie ma żadnych innych spraw, jakie by go w tym czasie zajmowały; a więc z konieczności, kiedy nie spałem David Markham był razem ze mną przez większą część czasu.

Gdzieś w zakątku mego umysłu rozrastał się kłąb domysłów na jego temat. David Markham należał do ludzi, których instynktownie lubi się i szanuje, których kariera powinna wspinać się coraz wyżej po kolejnych szczeblach drabiny służbowej, z czasem, przed siedemdziesiątką piątką, aż do osiągnięcia stopnia admiralskiego.

W miarę upływu kolejnych dni, znękanie i strach w głębi jego oczu wydawały się niemal zanikać. Gdybym nie wiedział kim był, wyśmiałbym bez namysłu możliwość, że mógłby być tchórzem. Nawet wiedząc kim był, zaczynałem w taką możliwość wątpić.

Dużo myślałem o okolicznościach, które doprowadziły go przed sąd wojenny, zeznań które twierdziły, że zrzucił maskę pozorów i zaczął uciekać, a potem czołgał się u stóp tych którzy go schwytali, płacząc i błagając o darowanie życia. Później nieprzyjaciel zdobył szereg posterunków, które nie mogły zostać zlokalizowane bez jego pomocy, co dowodziło, że aby ratować skórę zachował się jak tchórz. Miało to miejsce, oczywiście, podczas tego całego zamieszania na Wenus z Renegatami Portera. Nie rozumiałem jak można było mieć najmniejsze wątpliwości co do winy Davida Markhama, nawet pomimo tego, że im dłużej znałem tego człowieka, tym bardziej niewiarygodna ona się wydawała. Próbowałem wymyślić jakieś alternatywne wyjaśnienia. Próbowałem w nie uwierzyć. Chciałem w nie uwierzyć.

Czasami przyłapywałem Markhama wpatrującego się przez port widokowy w przyćmiony srebrzysty aksamit nieskończoności, spoglądającego swą udręczoną duszą, chwilowo tylko uspokojoną, na miliony błyszczących klejnotów, z których każdy był jednym z widocznych słońc naszej galaktyki, na mgławice, będące innymi galaktykami. Przeżywałem rozterki, pragnąc przyłączyć się do niego, w jego spokoju ducha, tak jak chętnie przyłączyłbym się do każdego innego człowieka. Po chwili jednak, oddalałem się skrycie, nie będąc jakoś w stanie zmusić się do nawiązania bliższych więzów między nami. Wtedy to właśnie uświadomiłem sobie, że wybrałem Davida Markhama w nadziei, iż mógłby on stać się smacznym kąskiem, do rzucenia Resnickowi na pożarcie, aby go zaspokoić i odwrócić jego uwagę ode mnie. Tchórzliwa motywacja, niezależnie od tego jak na to popatrzeć. To był tylko chwilowy impuls, którego teraz się wstydziłem. Dręczyło to mnie. Nie mógłbym się zmusić do rozszerzenia na niego swej judaszowej przyjaźni, bo taka, jak czułem, mogłaby się ona okazać.

Byliśmy już czterdzieści dni od Ziemi, kiedy Resnick skierował swą uwagę na Davida Markhama. Odkryłem to zupełnym przypadkiem. Dziesięć minut po rozpoczęciu mojego przepisowego okresu snu, pierwszy oficer postanowił mnie poinformować, że za cztery godziny nasz kurs przetnie nieskatalogowany rój meteorów, i oczywiście do moich obowiązków należało określenie środków ostrożności, jakie należało podjąć.

W zwykłych okolicznościach, po prostu zadzwoniłbym po swojego ordynansa, ale byłem mocno rozespany i zrobiłem coś bardziej naturalnego. Podszedłem do drzwi jego kajuty, leżącej po sąsiedzku do mojej, i otworzyłem je bez pukania. Właśnie się rozebrał, przygotowując się do wejścia do łóżka. Stanął, zaskoczony moim nieoczekiwanym wejściem. I wtedy zauważyłem brzydką purpurową plamę na jego nerkach, która mogła być wynikiem jedynie ciosu pięścią.

Udałem, że jej nie zauważyłem. Powiedziałem mu tylko, że powstała sytuacja alarmowa, wymagająca jego powrotu na służbę, i wycofałem się, zasuwając za sobą drzwi.

Kiedy wyszedł dwie minuty później, nie było po nim widać żadnych oznak, czy domyślał się, że zauważyłem siniaka, czy nie. A przez kilka następnych godzin i tak byłem zdecydowanie za bardzo zajęty, żeby się

tym przejmować. Jednak czułem się, jakbym to ja sam nabił mu tego siniaka, swoją własną dłonią, i z pewnością byłem za to odpowiedzialny, dokładnie tak jak myślałem.

Co gorsza, zdałem sobie sprawę, że pomimo swojej winy, ciągle czułem nadzieję, że Resnick skupi się na znanym tchórzu i mnie zostawi w spokoju.

W czasie gdy wykreślałem kursy setek odłamków asteroidowego żelastwa, aby wyszukać bezpieczne dziury przez przecinającą nam drogę grupę meteorów, moje myśli szeptały radośnie w głowie: „Musisz tylko udawać, że nic o tym nie wiesz, a może Resnick poczuje wdzięczność i zostawi cię w spokoju".

Później, usiłując złapać trochę snu, próbowałem wymyślić, co można zrobić. Czy może działać wprost i zapytać Markhama o tego siniaka? Przypuśćmy, że tak to rozegram, a on mi powie, że zrobił to Resnick i użyję tego jako pretekstu do wtrącenia sadysty do aresztu. Ale wtedy ludzie mogą rzucić mi w twarz reputację Markhama i stwierdzić, że to tchórzliwe łgarstwa; a jeśli nie wypuszczę Resnicka, natychmiast po dotarciu do portu Północny Mars, oznaczać to będzie oficjalne śledztwo – i to w pierwszym locie pod moim dowództwem. Rozważmy więc drugą możliwość, że on mi powie, a ja nic nie zrobię. Wtedy on będzie wiedział, że boję się Resnicka!

Nie spałem zbyt wiele. Nie złapałem zbyt wiele snu w czasie następnych kilku dni. W parze z mym poczuciem winy, nienawiścią do siebie samego, narastało wrażenie, że uderzenie w mojego ordynansa było pierwszym krokiem w planie Resnicka, aby wyciągnąć mnie na otwarty teren, gdzie bez trudu znajdzie okazję do obnażenia moich słabości.

Było oczywiste, jak Resnick dostał Markhama. Musiało się to stać, kiedy Markham poszedł do kuchni, żeby przynieść dla mnie posiłek, i musiało się to stać za wiedzą kucharza, co oznaczało, że Resnick już jawnie zaczął rządzić załogą za moimi plecami.

Nie było oczywiście niebezpieczeństwa buntu, czy innego banalnego chwytu rodem z kiepskiej literatury. Resnick nie był głupcem i nie miał obłąkanych ambicji, poza zaspakajaniem swej żądzy sadyzmu.

Kilka dni później zauważyłem małą plamkę krwi na plecach koszuli Markhama. Nie powiedziałem nic, ale później wieczorem, kiedy zwolniłem go i poszedł do swojej kajuty, wziąłem małe płaskie, metalowe lusterko i wsunąłem je pod jego drzwi na tyle daleko, by zajrzeć do środka i obejrzeć go bez ubrania. Zobaczyłem na jego plecach pręgi.

Co gorzej, widziałem jak płacze. Wstrząsał nim milczący szloch, a łzy płynęły mu z oczu strumieniem. Uczucia rozpaczy, zniechęcenia i samotności, ogarnęły go kompletnie.

W tej chwili wiedziałem już z całkowitą pewnością, że sąd wojenny miał rację. Był tchórzem i nigdy nie będzie niczym innym. Ale jednocześnie nagle poczułem, że go rozumiem. To było coś, na co nic nie mógł poradzić.

Leżałem samotnie w swej własnej kajucie i narastał we mnie palący gniew, powodując, że zacząłem myśleć trochę nieracjonalnie.

Można by to określić, jak przypuszczam, jako coś w rodzaju seansu samobiczowania się. W każdym psychiatra pewnie by tak to zdiagnozował. W swym własnym umyśle uczyniłem się odpowiedzialnym za wszystko, co Resnick zrobił Davidowi Markhamowi, co oznaczało, że przez „ukaranie” Resnicka, karałem samego siebie. Kiedy człowiek zejdzie na taki poziom czysto emocjonalnego i obsesyjnego myślenia, jego logika staje się nieco zawikłana.

Efektem tego bezsennego okresu snu, była jedna rzecz, która zupełnie jasno wyklarowała się w mych myślach. *Sprawy nie mogą toczyć się dalej tak, jak toczą się teraz*.

Och, pewnie, że tkwiło gdzieś we mnie podświadome przeczucie, że stan umysłu w którym się znalazłem, było to coś, do czego Resnick dążył. Do tej pory, zdążyłem już wmówić sobie wszechwiedzę Resnicka, tak więc wydawało się czymś absolutnie logicznym, że powinien wiedzieć iż spędziłem bezsenną noc, że powinien wiedzieć iż zobaczyłem te pręgi na plecach Markhama. W myślach niemalże go widziałem, jak szydzi tymi swoimi małymi usteczkami o cienkich wargach, czekając na mnie, aby mi skręcić kark. Widziałem te jego muskularne ramiona, zwisające mu po bokach, pokryte piegowatą skórą otaczającą twarde mięśnie. Palce, wyprostowane, ale gotowe do zaciśnięcia się w pięści – pięści które już kiedyś, lata temu, pobiły mnie do nieprzytomności – pięści które mogły zrobić to znowu, podczas gdy te lekko szalone brązowe oczy spoglądałyby na mnie z błyskiem drwiny…

David Markham podał mi śniadanie, doskonały ordynans, błyskawicznie przewidujący moje życzenia, do tej chwili tak już dostrojony do mych przyzwyczajeń, że niemalże zdawał się czytać moje myśli zanim jeszcze sam sobie je uświadomiłem. Wydawał się kompletnie niczym nie martwić. Zimny prysznic może zamaskować wielką różnorodność cierpień wewnętrznych, stwarzając różową aurę dobrego nastroju…

Nagle wpadł mi do głowy pewien pomysł. Mógłbym porozmawiać z Oscarem Resnickiem. Mógłbym go ubłagać. Zaoferowałbym mu pieniądze – moją całą płacę za ten rejs. Tacy ludzie mają swoją cenę. Jako kapitan zarabiałem pięć razy więcej od niego. Oddałbym mu wszystkie pieniądze, gdyby tylko zgodził się odpuścić.

Chciałem jedynie przejść przez swoje pierwsze dowództwo bez kłopotów, wrócić na Ziemię o czasie, stworzyć dobre wrażenie. Nagle nabrałem patetycznej pewności, że on się zgodzi. Taki układ musi być jednak obgadany w pełnej tajemnicy. Najmniejszy przeciek do załogi…

W panicznym pośpiechu, aby moja pewność siebie nie uleciała, zrezygnowałem ze swojej trzeciej filiżanki kawy i pośpieszyłem do biura. Przełączyłem interkom na pomieszczenia załogi i oznajmiłem rzeczowym, rozkazującym tonem:

— Panie Resnick, proszę zgłosić się do biura kapitana — powtarzając to trzykrotnie, tak jak to jest w zwyczaju przy wezwaniach przez interkom na pokładach statków.

Potem upewniłem się, że interkom jest wyłączony i usiadłem za swoim biurkiem, czekając. Serce waliło mi w piersi niemalże boleśnie, zbielałe palce zacisnąłem pięści, aby nie dygotały.

Pięć minut później rozległo się uprzejme stukanie do drzwi. Zbierając się do kupy tak mocno, jak to tylko było możliwe, powiedziałem:

— Proszę wejść — głosem, który jak miałem nadzieję brzmiał spokojnie i autorytatywnie.

Drzwi się rozsunęły i stanął w nich Oscar Resnick, którego ramiona niemal całkowicie wypełniały szerokość otworu drzwiowego, spłowiałe w kosmosie włosy były starannie zaczesane do tyłu, a brązowe oczy rzucały szybkie spojrzenia po całym pokoju i równie szybko zamaskowały błysk tryumfu, kiedy zobaczył że jestem sam. Wąskie wargi, wcześniej ułożone w prostą linię, wykrzywiły się w pełnym satysfakcji, wyczekującym uśmiechu.

— Wejdź do środka i zamknij za sobą drzwi — poleciłem. Przy ostatnich trzech słowach, głos zaczął mi się załamywać z nerwową niepewnością.

Wszedł i zamknął pewnie drzwi, z nieustannie wbitym we mnie wzrokiem. Kiedy drzwi były bezpiecznie zamknięte, powiedział:

— Pewnie, Art, mój stary.

Tymi czterema słowami całkowicie przejął kontrolę nad sytuacją. Wypowiedział je tak miękkim tonem, że po drugiej stronie interkomu nie pojawiłby się ani cień szeptu, nawet gdyby był włączony. Szedł w moją stronę, dopóki nie znalazł się przy samym biurku, a następnie oparł się dłońmi o blat i oznajmił:

— Zastanawiałem się, ile czasu będziesz potrzebował, żeby zaprosić mnie na chwilę rozmowy.

Roztaczał aurę spokojnej, pogardliwej siły, a oczy błyskały w moją stronę badawczo.

— Zgadza się — odparłem, słysząc w swym głosie nerwowy pisk, niepewny czy moje słowa pozostają w jakimkolwiek związku do tego co powiedział on. — Chciałem z tobą porozmawiać. Sprawy nie mogą toczyć się tak, jak toczą się teraz!

Resnick odsunął się do tyłu, z udawanym zaskoczeniem.

— Ależ, ja nie mam pojęcia o co chodzi, *panie kapitanie* — oświadczył.

— Doskonale wiesz, o czym mówiłem — stwierdziłem kompletnie załamującym się głosem. — To moje pierwsze dowództwo. Zależy od niego cała moja przyszłość. Jaką satysfakcję może ci przynieść to, że mnie zrujnujesz?

W tym momencie przeszłość w pełni wzięła mnie w swoje władanie. Ponownie błagałem o litość, tam gdzie nie było litości, mając nadzieję pomimo braku nadziei, stojąc przed tymi szalonymi oczyma, szukając czegoś, czego w nich po prostu nie było.

— Ależ, *panie kapitanie* — stwierdził drwiącym tonem, — w ogóle nie wiem o czym pan mówi. Może stres wynikający z pańskich nowych obowiązków…?

— Ile byś chciał? — wyrzuciłem desperacko z siebie. — Ile, żeby się odczepić od – Davida Markhama – żeby dać mi spokój…

— Ciągnie swój do swego, co? — powiedział. W jego oczach pojawiło się zastanowienie. — Każdy człowiek ma swoją cenę, jak sądzę…

Poczułem ogromny napływ nadziei. Może uda nam się dogadać. Może to nie będzie kosztować aż tyle, ile byłem gotów zapłacić.

Podrapał się powoli po podbródku, a potem oznajmił:

— No cóż, powiedzmy twoja płaca za ten rejs plus pięć tysięcy dolarów? — Wąskie wargi ponownie wygięły się w uśmiechu. — I obietnica z twojej strony, że zaciągniesz mnie na swój kolejny lot – albo złożysz swoje kapitańskie papiery?

Cały wszechświat zamarł w bezruchu, kiesy zobaczyłem stojącą przede mną ruinę. Nie było kompletnie żadnego sposobu wyjścia z tej sytuacji. Usłyszałem siebie samego, jak wyrzucam z siebie:

— Dlaczego? Dlaczego? DLACZEGO?

Powoli nachylił się nad moim biurkiem, ponownie opierając się dłońmi o jego blat, aż jego twarz znalazła się zaledwie parę cali od mojej. Wyszeptał:

— Ponieważ jesteś śmierdzącym tchórzem. Dlatego. Nigdy nie powinieneś zostać kapitanem.

Jego ochrypły, szyderczy szept zawisł w zupełnej ciszy pomieszczenia jak dzwon zagłady.

Jest jakiś rodzaj szaleństwa, większy niż zwykłe szaleństwo, jestem tego pewien. Powinienem czołgać się u jego stóp w przerażeniu. Powinienem podjąć decyzję, aby wejść do śluzy powietrznej i wystrzelić się w kosmos, popełnić samobójstwo, niezdolny już dłużej żyć sam ze sobą, ponieważ każde jego słowo było prawdą, i wiedziałem o tym bez cienia wątpliwości.

Zamiast tego, usłyszałem jak mówię:

— W porządku, Resnick. Wygrałeś. — Mój głos był idealnie spokojny. To nie byłem ja. Ktokolwiek to był, nie mówiłem tego ja. Należąca do mnie część mojego umysłu znajdowała się w otępiałym paraliżu, niezdolna do działania, niezdolna nawet do myślenia. Usłyszałem jak mój głos mówi dalej: — Układ jest taki. Obiecujesz się odczepić. W zamian za to, ja obiecuję przekazać ci swoją wypłatę za ten lot, kiedy tylko ją otrzymam, i zaciągnąć cię na następny rejs. — Mój głos nadal brzmiał idealnie spokojnie, nawet rzeczowo. Poczułem, jak wargi wyginają mi się w skalkulowany i kwaśny uśmiech porażki. Usłyszałem swoje kolejne słowa: — Takiej umowy, oczywiście, nie możemy sporządzić na piśmie, ale – opijemy ją, dobrze?

Wstając zza swego biurka zobaczyłem jak przez jego szczupłe, kanciaste oblicze przebiega rozczarowanie, niedowierzanie, zdziwione zaskoczenie. Tak jakby we śnie, odwróciłem się do niego plecami i przeszedłem przez pomieszczenie, podchodząc do szafki z alkoholem, przywileju kapitana kosmicznego. Otworzyłem ją idealnie spokojnymi dłońmi. Ruszył za mną, podszedł, aby stanąć za mną, bardzo blisko. Wziąłem butelkę szkockiej, z ciągle nienaruszoną banderolą i odwróciłem się do niego.

— Szkockiej? — spytałem go.

Stał nade mną, rozciągając swe wąskie wargi w rozradowany szeroki uśmiech.

— Pewnie — odparł miękko, a wargi aż przykleiły mu się do poplamionych zębów.

Wyczuł mój nagły ruch, ruch, którego nie nakazałem sobie w żaden świadomy sposób, ale był zbyt wolny, i pełna butelka walnęła go w głowę, rozbijając się, rozpryskując deszczem alkoholu na jego mundurze i posadzce. Oczy nie zamknęły mu się, ale zaciągnęły się mgiełką nieświadomości, kiedy padł jak długi na podłogę.

Przez chwilę stałem jak wmurowany, mrugając oczyma i spoglądając pod nogi na nieprzytomną postać, nie mogąc do końca uwierzyć w to, co się stało. Nawet leżąc bez świadomości wywoływał u mnie lodowaty dreszcz przerażenia.

W jednej chwili szaleństwa, wszystko zrujnowałem. Kiedy oprzytomnieje, zaweźmie się, będzie bezlitosny. Na chwilę, czy dwie, zupełnie się załamałem, płacząc jak dziecko.

Potem, stopniowo, wrócił mi spokój. Odwróciłem go na plecy i złożyłem mu razem bezwładne ręce. Wziąłem swój pas i okręciłem mu kilka razy wokół nadgarstków, tak bym mógł mocno spiąć go sprzączką.

Potem poszedłem do swojej kajuty i wróciłem z rolką taśmy samoprzylepnej. Zakleiłem mu nią usta, śmiejąc się nieustannie przyciszonym, szalonym głosem, który nie należał do mnie.

Użyłem reszty taśmy z rolki, do skrępowania mu razem kostek. I niemal dokładnie w chwili, kiedy skończyłem, on otworzył oczy.

Potrzebował kilku minut, żeby zebrać razem i uporządkować myśli, a następnie skupić na mnie swoją uwagę, przypatrując mi się badawczo. Ciągle nieustannie chichotałem pod nosem. Oszalałem i byłem świadom faktu, że oszalałem, przekroczyłem jednak granice tego, by się tym przejmować.

— Masz miłe oczy — usłyszałem siebie, jak mówię. — Miłe, miękkie brązowe oczy. — Przez chwilę z ogromną uwagą oglądałem mu czaszkę. — To dobrze — powiedziałem. — Butelka się stłukła, tak że nie będzie żadnych śladów urazu, które mogłyby czegokolwiek dowodzić.

Wyjąłem papierosa i zapaliłem go drżącymi palcami. On zaś przyglądał mi się. Wypuszczając smugę dymu i wskazując w jego stronę palcami, oznajmiłem:

— Uczę się właśnie czegoś nowego, Resnick. Już wcześniej… uczę się. Zastanawiam się, jak wiele czasu mi zajmie, żeby złamać *ciebie*.

Odepchnąłem mu do tyłu głowę i próbowałem położyć kciuk na jego gałce ocznej. Zacisnął mocno oczy, ale siłą odsłoniłem mu prawą powiekę i nacisnąłem opuszkiem kciuka odsłoniętą gałkę.

— Wystarczy odrobinę mocniej i twoje oko nabiegnie krwią — zauważyłem nieznacznie tylko głośniej niż szeptem. — Dowody, rozumiesz. Kto ci uwierzy, że kapitan mógłby coś takiego zrobić. Nawet z załogi, nikt! Pewnie, że zgodzą się z tobą, żeby uniknąć pobicia. To znaczy, jeśli będziesz miał jeszcze ochotę na tego rodzaju przyjemności, kiedy z tobą skończę. Dopiero zaczynam, wiesz przecież.

Zabrałem kciuk z oka i złapałem go za nos, ściskając mu nozdrza, patrząc jak wzbiera w nim strach, patrząc jak walczy o oddech, patrząc jak robi się coraz słabszy i słabszy, i puszczając go w ostatniej chwili przed

utratą przytomności, przyglądając się potem jak pierś mu się unosi, kiedy zaczerpnął ze świstem pełne płuca powietrza.

— Właśnie coś mi przyszło do głowy — oznajmiłem mu. — Nie ośmielisz się mi oddać, kiedy już cię puszczę. Uderzenie mnie, oznaczałoby zdradę, karę dożywotniego więzienia, czyż nie? A co mógłbyś powiedzieć na swoją obronę? Że kapitan cię torturował? A kto by w to uwierzył? Czy masz jakichś świadków? Widzisz, jak skradłem ci twoją największą broń? — Otworzyłem mu siłą lewe oko i tym razem na nie nacisnąłem końcem kciuka. — Pół godziny załatwi sprawę — zaszydziłem. — Żadnych śladów. Będę musiał zachować dużą ostrożność, ale badanie lekarza okrętowego niczego nie wykaże.

Po dziesięciu minutach – a może było to dziesięć wieczności? – zmienił się w kupę drżącego mięsa.

Zrobiłem mu takie rzeczy, że był zbyt słaby aby się nawet poruszyć. Kiedy minęło pół godziny, zerwałem mu taśmę z ust i zacząłem słuchać wydobywającego się z nich bełkotu. Potorturowałem go jeszcze trochę i miał już dość.

— Jeśli kiedykolwiek wezwę cię przez interkom — zagroziłem — a ty natychmiast się nie pojawisz, uznam to za poważną niesubordynację wobec kapitana. I wystarczy, byś tylko tknął któregoś z członków załogi, a ja cię wezwę, mój drogi chłopcze. Wezwę cię.

W końcu pozwoliłem mu odejść.

Kiedy wyszedł, trząsłem się jak osika. Z wolna zaczęła mi wracać odrobina zdrowego rozsądku, razem ze świadomością tego co zrobiłem. Poczułem nieodparte mdłości, zataczając się dowlokłem się do łazienki i pozbyłem śniadania. Potem wróciłem do biurka.

Przez kilka godzin siedziałem tam, podczas gdy mój umysł wracał do życia i zaczynał ponownie funkcjonować. Ciągle nękało mnie poczucie, że Resnick jest wszechwiedzący, że jakoś będzie w stanie obalić mnie, zrzucając w otchłań hańby. Ale obok tego stopniowo narastała świadomość, że to niemożliwe, że nie potrafi tego dokonać.

Użyłem przeciwko niemu jego własnej broni psychologicznej, wzbudzając w nim psychozę strachu, że nie jest w stanie podjąć udanej walki. Odwróciłem kartę.

Nie mogłem w to tak do końca uwierzyć, jeszcze nie, ale nie wierzyć nie potrafiłem już także. Przez następne trzy dni, zajmowałem się swoimi rutynowymi sprawami, okazując spokojną twarz, czekając aż zerwie się burza, ale nic się nie stało.

W końcu, aby przetestować sytuację, celowo ruszyłem w obchód inspekcyjny po całym statku, aż wreszcie dotarłem do miejsca w którym pracował Resnick, wraz z kilkoma innymi marynarzami z załogi. Kiedy wszedłem do przedziału i zobaczyłem jak unosi wzrok, dostrzegłem że instynktownie się skulił i nie potrafił tego powstrzymać. W przypływie natchnienia zrozumiałem, że sadyzm był przykrywką dla jego własnego tchórzostwa, mechanizmem kompensacyjnym.

Wtedy już wiedziałem, że wygrałem. Po długiej chwili milczenia, obróciłem się do niego plecami i wyszedłem z przedziału.

Kiedy szedłem samotnie do środkowego kadłuba, a potem wcisnąłem się za kapitańskie biurko, po raz pierwszy zacząłem rozumieć, co to znaczy być kapitanem. To oznacza, oczywiście, wiele rzeczy, ale najistotniejszą ze wszystkich jest stawienie czoła obowiązkom dowódcy, odpowiedzialności.

Wiedziałem, że już nigdy nie będę się bał – a już najmniej ze wszystkiego bał się Oscara Resnicka. Tak samo nigdy więcej nie będę bał się już strachu. W przyszłości, być może kiedyś znowu będę musiał stawić czoła obecności brutala w swojej załodze, ale wiedziałem już jak sobie z nim poradzić – jego własną bronią, tą samą której używał on, ponieważ *on sam jest na nią najmniej odporny*.

Kiedy *Alabama* dotarła do portu Północny Mars, Resnick opuścił statek. Z zadowoleniem przyjąłem jego odejście. Reszta załogi została ze mną i przez następne pięć lat, w czasie których dowodziłem *Alabamą*, nie miałem żadnych kłopotów.

David Markham pozostał przy mnie, jako mój ordynans aż do mojego odejścia na emeryturę, i ciągle jest ze mną. Parę lat po wydarzeniach tej opowieści, miałem możliwość przywrócenia go do służby, ale odrzucił moje sugestie i odmówił opuszczenia mnie. Czasami sobie myślę, że on wie, co się wydarzyło w moim biurze tego dnia, kiedy wezwałem do siebie Resnicka, ale nigdy w żaden sposób nie zdradził się, jak jest naprawdę.

Dziwicie się pewnie, że nie wstyd mi tak publicznie przyznawać się do tchórzostwa? Nie powinniście się dziwić. Wszyscy jesteśmy tchórzami – albo głupcami. Nie wstydzę się tego, że przydarzyło mi się kiedyś stchórzyć. Odwaga, w pewnym sensie, polega na tym, żeby nie bać się bać.

Została mi jeszcze tylko jedna sprawa, jeśli chodzi o moją opowieść. Kiedy dolecieliśmy do portu Północnego Marsa, w tym pierwszym rejsie pod moim dowództwem, stałem się Kapitanem.

I odtąd już zawsze nim byłem.

KONIEC